

Samotny telefon

– Pani Anielo, jest pani pewna, że poszedł do toalety?! – zawołał dyrektor Karczyk w stronę otwartych drzwi wartowni.

– Tak mówił, panie dyrektorze! – odskrzyknęła sekretarka. – A gdzie indziej mógł pójść?

– A bo ja wiem? Zdarzały się już czmychnięcia w ostatniej chwili.

– E, nie sądzę. Zresztą pójde zobaczyć.

Karczyk rozpoczął już jednak wstawanie zza biurka. Krzesło odjechało, dyrektorskie siedzenie oderwało się od tapicerki, w głowie zapadła decyzja.

– Nie, nie. Ja pójde, pani Anielo!

Do gabinetu zajrzała przymilnie uśmiechnięta twarz.

– Pójde, panie dyrektorze. Pan jest zajęty. Proszę się nie facygować.

Twarcz zniknęła i w wartowni nerwowo zatuptały obcasy. Karczyk zaskakująco zwinnie ominął biurko i wyskoczył z gabinetu. Tył beżowego żakietu i oszronione włosy zniknęły właśnie w drzwiach na korytarz.

– Pani Anielo, proszę zostać! – polecił.

Kobieta stanęła jak osadzony w miejscu rumak i odwróciła się powoli. Jej oczy biegały niespokojnie, twarcz ścięła się w dziwnym napięciu. Jakby się przestraszyła, że rozgniewała szefa. Jakby czuła się winna.

– Oczywiście, panie dyrektorze – powiedziała posłusznie. – Proszę iść. Oczywiście.

– Nie mogę, pani Anielo – Karczyk uśmiechnął się dobitnie, rad z wrażenia, jakie jego dyrektorski majestat robi na poddanych.

Sekretarka zmarszczyła czoło, usiłując zrozumieć, co go powstrzymuje, a on tym razem wręcz się roześmiał.

– Stoi pani w przejściu!

Ocknęła się raptownie, przeprosiła i zesła z drogi, choć miało się wrażenie, że wcale nie tak szybko, jak by to było możliwe.

Karczyk minął ją w drzwiach i wyszedł na korytarz. Gdyby obejrzał się przez ramię, przechwyciłby może wymierzone w swój kark przestraszone spojrzenie. On jednak zdecydowanym krokiem zmierzał prosto przed siebie i wzrok miał wbity w klamkę męskiej toalety.

W łazience słycać było cichy szum ulicy dobiegający zza uchylonego okna. Poza tym panowała cisza.

– Kurowski Jonasz? – rzucił od progu dyrektor Karczyk.

Nie było odpowiedzi, więc postąpił o kilka ostrożnych kroków w głąb. Minął umywalkę i zajrzał do części z kabinami. Najbliższa była otwarta. Zerknął do wnętrza – pusta. Drzwi środkowej jednak wyglądały na zamknięte. Pociągnął za uchwyt – najwyraźniej użyto zasuwki.

– Kurowski Jonasz? – powtórzył zaalarmowany.

Ponieważ znów nikt się nie odezwał, dyrektor Karczyk przechylił się i zajrzał przez szparę między dolną krawędzią drzwi a białą terakotą. Stóp zamkniętej w środku osoby nie zdołał dosięgnąć wzrokiem, ale jego uwagę zwrócił leżący na podłodze kawałek pomarańczowego plastiku. Po chwili zauważył następne – zmiecione w kupkę przy ścianie pod kaloryferem.

– Kurowski Jonasz? – po raz trzeci powiedział Karczyk.

Nie doczekawszy się reakcji, lekko pociągnął za uchwyt drzwi. Nie otworzyły się, ale drgnęły. Zamek nie mógł być zbyt solidny. Dyrektor szarpnął raz jeszcze, tym razem z całej siły. Wkręty mocujące zasuwkę wyrwały się z płyty wiórowej i wnętrze kabiny stanęło otworem. Była pusta. Na pokrywie spłuczki leżał czyjś pozostawiony telefon. Karczyk chwycił go spoconą ręką i nerwowo stuknął palcem w ekranik.

Miło cię poznać

– W czym? – wybelkotał Jonasz, z wrażenia przyspawany do progu dziwnej budowli.

Echo wesołego powitania obijało się jeszcze o ściany holu. Jego całkiem zwyczajny kształt wydłużonego w głąb prostokąta nieco rozczarowywał po fantazyjnym rozwichrzeniu zewnętrznych elewacji. Zdumiewał za to rozmiar. Patrząc z dworu, nigdy by się nie zgodził, że w tej połamanej bryle mieścić się może aż tyle prostej przestrzeni. Hol przypominał salę w galerii sztuki. Środkiem przebiegał szpaler drzew wyciętych z pomalowanej na biało sklejki. Pomiędzy nimi stało kilka okrągłych siedzisk w kolorze wiosennej zieleni. Wyglądały, jakby ustawiono je po to, żeby można z nich było wygodnie kontemplować ściany.

Na tej po lewej stronie od wejścia wisiały identycznej wielkości obrazy w grubych drewnianych ramach. Płótna były równomiernie granatowe i nie przedstawiały nic bądź też przed-

stawiały cokolwiek, w zależności od wyobraźni patrzącego. Na ścianie po prawej natomiast ciągnął się rząd drzwi. Każde były w innym kolorze. Nad zielonymi – tymi najbliższymi wejścia – wisiały dwa zegary. Lewy wskazywał piętnastą trzydzieści osiem. Prawy był ewidentnie popsuty – brakowało godzinowej wskazówki, a pozostałe dwie stały w miejscu.

Komitet powitalny prezentował się malowniczo. Grupka nie była liczna, na oko kilkanaście osób, wszystkie mniej więcej w wieku Jonasza. Na czarno-białym zdjęciu wyglądałby na jednolicie umundurowanych. Ubrani byli w ciemne spodnie lub spódnice i jednakowe nierozpinane bluzy, spod których pod szyją wystawały wyłożone na wierzch lub wetknięte pod spód kołnierzyki polo. Monotonię fasonu ożywiała jednak różnorodność barw. O ile u dołu rzeczywiście dominowała czerń, o tyle góry były pomarańczowe, seledynowe, czerwone, błękitne lub turkusowe – przy czym odcienie dobrano tak, żeby pasowały do wystroju budynku. Albo odwrotnie – jak dla porządku pomyślał Jonasz.

– Chodź, chodź, Jonasz, zimno leci – powiedziała sympatyczna blondynka tonem cioci zapraszającej na herbatkę. Długie do ramion proste włosy trzymała w szachu plastikową opaską. W czarnej spódnicy i białych podkolanówkach wyglądała trochę jak klasowa prymuska.

Kiedy Jonasz z ociąganiem zrobił dwa kroki w głąb holu, drzwi zamknęły się za nim prawie bezgłośnie.

– Jestem Sally – blondynka podała mu na powitanie mięką, białą dłoń. – A to Magnus, Pepe, Fariba, Nives... – przystąpiła do prezentacji.

Reszta przedstawiła się sama.

- Guang – burknął chłopak o oczach wąskich jak ostrza żyłek.
- Amadu.
- Wifi.
- Scott.
- Misza.

Witając się, Jonasz zwrócił uwagę na okrągłe naszywki, które wszyscy nosili na bluzach. Wyhaftowany był na nich symbol skrzydła i czteroliterowy akronim.

– Co to jest Amon? – zapytał, kiedy już poznał wszystkie imiona i prawie wszystkie zapomniał.

Nives (to akurat zapamiętał), rudowłosa dziewczyna o twarzy zaróżowionej jak po żrebiących harcach, podniosła obie ręce i jakby zagarniając ku sobie wszystko dookoła, powiedziała po prostu:

– TO jest Amon.

Jonasz jeszcze raz obiegnął wzrokiem sufit, ściany, podłogę. Odpowiedź Nives niewiele mu wyjaśniła. To tu ma być to naswietlanie? – pomyślał i odruchowo upewnił się, że nadal ma w kieszeni bloker. Więcej pytań nie zdążył już sobie zadać, bo kolorowe towarzystwo obstało go i zagadało.

– Bez problemu trafiłeś? – z wyraźnym zaciekawieniem spytał wysoki czarnoskóry chudzielec.

– Jakoś trafiłem, ale...

– A zauważyłeś wszystkie wskazówki?

– Oj, daj mu spokój, Amadu! – skrzywił się drobny chłopak, którego idealnie równa grzywka pod kątem czterdziestu pięciu stopni dochodziła do linii wyznaczającej poziom oczu. – Skąd ma wiedzieć, czy wszystkie, skoro nie wiadomo, ile powinien był wiedzieć?

– No to przecież pytam, ile widział.

– O nie, nie, mój drogi. Pytałeś o coś zupełnie innego. Pytałeś, czy widział wszystkie. Żeby wiedzieć, czy widział wszystkie, musiałby wiedzieć, czy żadnej nie nie widział. A on widział tylko te, które widział.

– Oj, czepiasz się, Misza. Jak zwykle – zaperzył się Amadu.

– Widziałem jedną na ścianie i jedną na torbie – przypomniał sobie Jonasz. – W sumie dwie. Nie wiem, czy było więcej.

– A na donicy? – włączyła się śniada dziewczyna o ciemnobrązowych włosach.

Kiedy mówiła, spomiędzy szerokich warg błyskały mocne białe zęby, co mogłoby wyglądać groźnie, gdyby nie oczy, którymi z sympatią patrzyła na świat. Nives błagalnie spojrzała na sufit.

– A Fariba znowu swoje! – jęknęła. – Nic nie było na żadnej donicy. Ile razy można ci powtarzać?

– Ja widziałam – upierała się Fariba.

– Jakoś dziwnym trafem tylko ty.

– I właśnie dlatego pytam Jonasa.

– To wyście wszyscy... – przerwał im Jonasz, skacząc wzrokiem z twarzy na twarz. – To wyście tu... tak jak ja?

– Jeśli ty przez *Street View* – z pedantyczną precyzją zastrzegł Misza – to tak: my też tak jak ty. W każdym razie ja. I nie słyszałem, żeby ktoś w jakiś inny sposób.

– A skąd wiedzieliście, co wpisać? Też dostaliście współrzędne od...

Przerwało mu gremialne sykanie i ostrzegawcze machanie rękami. Do tych i owych ust przyłgnęły uciszające palce. Jonasz, trochę urażony, a trochę przestraszony, rozłożył ręce i potrząsnął głową.

– No co?

Wszyscy naraz zaczęli wyjaśniać, przekrzykiwać się, uciszać nawzajem i żądać wyłączności głosu. Efekt był taki, że z ogólnego harmidru trudno było wyłowić choć pół zdania. Jedno po drugim milkli więc naburmuszeni, aż w końcu mówił już tylko szczupły brunet o regularnej twarzy, która wraz z gęstą kędzierzawą czupryną przypominała kształtem solidną porcję lodów w rozku. Nie musiał wcale krzyczeć, nie wymachiwał rękami, a mimo to z jakichś powodów to jemu ostatecznie ustąpiono miejsca.

– Bo, widzisz, mamy tu taką zasadę – tłumaczył – że nie rozmawiamy o tym, kto nam pomógł dostać się do Amonu. Tak jest bezpieczniej. Dla wszystkich.

– Co tam, Pepe, opowiadasz Jonaszowi? – spytał wesoły głos, który wraz z energicznym stukotem obcasów doleciał z głębi holu.

Jonasz spojrzał ponad głowami rozmówców. Od strony pomarańczowych drzwi zbliżała się trzydziestoparoletnia na oko kobieta w czarnych garniturowych spodniach i wąskiej białej bluzce z podwiniętymi rękawami. Otaczająca Jonasza grupka rozstąpiła się, żeby zrobić jej przejście.

– Wiedziałam, że jak tylko na chwilę odejdę, to właśnie w tym momencie przyjdiesz. Zawsze tak jest. Złośliwość losu. Mari Tarkkonen, miło cię poznać, Jonaszu. Nie zmarłeś?

Mówiła niskim, opanowanym głosem, bez słodkich minek i wysilonej serdeczności, ale może właśnie przez ten brak ceregieli wydała się Jonaszowi dość sympatyczna. Spojrzał na swoje nogi, gołe poniżej szortów, i jakby upewniony tym widokiem przyznał:

– Prawdę mówiąc, trochę tak.

– Pokażesz Jonaszowi szafkę, Sebastianie? – poprosiła pani Tarkkonen, a do Jonasza powiedziała: – Jak się przebierzesz, to zapraszamy do bujalni. Niebieskie drzwi. Jest parę rzeczy, których pewnie chętnie byś się dowiedział.

„Katinka – pamiętam”

Sebastian był szczupłym okularnikiem z minimalistyczną fryzurą à la miedziana szczotka. Kiedy pani Tarkkonen poprowadziła grupkę w stronę niebieskich drzwi, on wskazał Jonaszowi zielone. Za nimi, jak się okazało, znajdowało się pozabawione okien pomieszczenie zastawione wysokimi na około dwa metry metalowymi szafkami. Pomalowano je na te same jaskrawe kolory, których użyto również w holu i na zewnątrz budynku. Zestawione plecami stały w kilku podwójnych rzędach po obu stronach biegnącego środkiem przejścia. Do frontów przykręcone były metalowe kieszonki na kartki z imionami. „Guang”, „Nives”, „Wifi”, „Magnus” – tym akurat trafiły się miejsca blisko brzegu. Tu i ówdzie jednak widać też było puste ramki. Sebastianowi nagle przypomniało się, że tak naprawdę to nie wie, która ma być Jonasza.

– Poczekaj, zaraz wracam – powiedział i pobiegł zapytać.

Snując się między rzędami w oczekiwaniu na jego powrót, Jonasz zwrócił uwagę na szafkę, która wyglądem różniła się od pozostałych. Zamiast blaszanych drzwiczek miała przeszkłony

front, przez co przypominała trochę sklepową lodówkę albo gablotę w muzeum. Zaciekawiony podszedł i przyjrzał się z bliska. Za szybą, na półkach, leżało trochę ubrań i kilka przypadkowych drobiazgów: paczka chusteczek, pastylki na gardło, klucze, pomadka do ust, kupon na popcorn gratis, skasowany bilet, długopis i mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem: „Katinka – pamiętamy”. Czyli jednak bardziej gablota niż lodówka – pomyślał Jonasz.

Zaszurały drzwi i wrócił zadowolony z siebie Sebastian.

– Już wszystko wiem! – Pomachał od wejścia karteczką z imieniem.

Podeszli do żółtej szafki w jednym z rzędów po lewej stronie. Sebastian wsunął plakietkę w ramkę i pokazał palcem gałkę, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak zwykły uchwyt meblowy.

– Musisz podać kod – wyjaśnił. – Tu, do tego mikrofonu. Tylko szeptem, żeby nie słyszał. – Dyskretnie odsunął się na kilka kroków.

– Ale ja nie znam kodu – przestraszył się Jonasz.

Sebastian wyrozumiale machnął ręką.

– Spokojnie. Kodem jest numer do twojej dziewczyny.

Na to Jonasz przeraził się jeszcze bardziej. I do tego zawstydział. I poczuł winny.

– Ale... – Spiekł raka. – Ja nie mam dziewczyny.

Sebastian rechotał, aż mu okulary podskakiwały na nosie. Sięgnął ręką do gałki i najzwyczajniej w świecie pociągnął. Po tem jeszcze przez dłuższą chwilę posapywał, mrugał zawilgotnionymi oczami i szczyrzył przednie zęby – krzywe i niedomyte, jak mściwie pomyślał Jonasz.

Wnętrze szafki podzielone było na trzy komory – jedną szeroką, na samej górze, i dwie węższe, przegrodzone pionową płytą. Przestrzeń po lewej pocięto na kawałki półkami z metalowych prętów. Leżały na nich, złożone w starannych stosach, rozmaite części garderoby. Na górze kilka bluz, każda w innym kolorze, niżej koszulki, skarpetki, majtki, piżama – wszystko nowiutkie jak w sklepie. Po prawej stronie, pozbawionej przegród, wisiały na drążku czarne, zaprasowane w kancik spodnie.

– Ohyda, co? – mruknął Sebastian, trącając drewniany wieszak.

Ale Jonasz na razie nie chciał mieć z tym człowiekiem nic wspólnego – nawet opinii o spodniach.

– Po co tego aż tyle? – kiwnął brodą na obładowane półki.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Wiesz, tu się raczej nikt nie zdążył spakować przed przyjazdem.

Jonasz pomyślał, że to by mogło tłumaczyć najwyżej parę cieplejszych rzeczy. Sam przecież też nie miał ze sobą bagażu.

– Ale aż tyle? – spytał.

– Cóż, niektórzy lubią co kilka dni zmienić bieliznę – westchnął Sebastian, a widząc przestraszoną minę Jonasza, znów zachichotał. – Żartowałem. Nie bój się, wystarczy raz w tygodniu.

Ale to nie higieniczne herezje zaniepokoiły Jonasza. Jednym spojrzeniem oszacował zapas czystych ubrań. Starczyłoby chyba na dwutygodniowe kolonie! W skierowaniu do poradni nie było mowy o dłuższym pobycie poza domem.

– Dobra, idę – powiedział Sebastian. – Jak będziesz gotowy, to przyjdź do bujalni.

– A co potem? – chciał jeszcze wiedzieć Jonasz.

- Tarkko ci wszystko powie.
- Kto?
- Tarkko. Tak na nią mówimy. Krócej niż Tarkkonen.
- Ale potem wrócę do domu, tak?

Sebastian szedł już szerokim przejściem między rzędami szafek.

– Niebieskie drzwi, pamiętasz?! – zawołał, jakby nie usłyszał pytania.

W bujalni

Kiedy z powrotem znalazł się w holu, Jonasz miał na sobie bluzę w kolorze, który pewnie połowa zapytanych nazwałaby niebieskim, a druga połowa zielonym. Z przodu po lewej stronie naszyta była okrągła plakietka, na której wyhaftowano symbol skrzydła i cztery tajemnicze litery: A, M, O i N. Przebierając się, zauważył, że podobnymi naszywkami – nieco mniejszymi i bardziej dyskretnymi – ozdobione były również pozostałe części garderoby, które przygotowano dla niego w szafce. Czarne spodnie z wieszaka – tu Jonasz musiał zgodzić się z Sebastianem – faktycznie nie były zbyt piękne. Za to nogi nie marzły w nich tak jak w szortach. Zresztą, jak zapamiętał, każdy ubrany był tu mniej więcej tak samo – obciach rozkładał się po równo.

Choć stawiał stopy ostrożnie i z pewnym ociąganiem, miał wrażenie, że jego kroki niosą się po pustym holu niestosownym

łomotem. Swoje dodawało też tłukące się w piersiach serce. Przed niebieskimi drzwiami Jonasz zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Obciągnął bluzę, poprawił okulary. W końcu nacisnął klamkę i wszedł do pomieszczenia, które kobieta w białej bluzce i Sebastian nazwali bujnią.

Kosmos! – to była pierwsza iskierka skojarzenia, która rozbłysła mu w głowie, zanim do świadomości dotarły szczegóły: szarogranatowy miękki dywan, ściany w gołęzim kolorze z jaśniejszymi plamami w kształcie ciał niebieskich, głuchy bezkres wszechświata za szarzejącymi oknami. Wewnątrz, w srebrzystym świetle elektrycznych gwiazd, jak planety w przestworzach unosiły się kręgiem połówki przezroczystych kul. W ich wydrążonych i wyściełanych poduszkami wnętrzach wygodnie umoszczeni siedzieli znani już Jonaszowi młodzi ludzie. Swoją półkulę miała też pani Tarkkonen. Widok solidnych łańcuchów mocujących półkule do sufitu nieco sprowadzał na ziemię, ale i tak wrażenie było niezwykle.

– Chodź, chodź – zaprosiła kobieta. – Wybierz sobie którąś.

Jonasz podszedł do jednej z paru niezajętych kapsuł i nieufnie pociągnął za łańcuch. Przez salę przebiegł wesoły szmer.

– Nie bój się, nawet pod Scottem się nie urwało – złośliwie mruknął Guang, na co pocziwie wyglądający chłopak o niedźwiedziozwej posturze zareagował cichym mamrotaniem.

Jonasz stanął tyłem do bańki, wypiął się niezgrabnie i zaczął powoli obniżać siedzenie w stronę szaroniebieskiej poduszki. Kiedy nastąpiło zetknięcie, trochę zbyt szybko zrezygnował z podparcia, przez co na moment stracił kontrolę nad własnym ciężarem. Kapsuła bujnęła się gwałtownie, ale nie spadła. Niektórzy znów cicho zachichotali.

– Wygodnie? – uśmiechnęła się pani Tarkkonen.
Jonasz, bez entuzjazmu wprawdzie, ale pokiwał głową.
– To świetnie. Możemy zaczynać. Otóż, moi drodzy, czas oficjalnie przywitać Jonasza w Amonie.
Gestem zachęciła do oklasków, co wzięto sobie do serca i przez chwilę w bujalni było naprawdę głośno. Kiedy owacje ucichły, pani Tarkkonen zapytała znienacka:
– Może na początek przypomnisz nam, Jonaszu, co znaczy słowo „Amon”?
Jonasz oniemiał. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale wzrok pani Tarkkonen domagał się odpowiedzi. Pozostali też patrzyli wyczekująco. Wyteżył pamięć. Amon? Czyżby powinien to wiedzieć?
– Nie mam pojęcia – poddał się wreszcie i kolejny wesoły szmer przeszedł przez bujalnię.
– To dokładnie tak jak my – wesoło powiedziała Nives.
Kobieta w białej bluzce również się uśmiechała i twierdząco kiwała głową.
– No właśnie. Nikt nie wie, a każdy by chciał. O to tu właśnie chodzi, Jonaszu. O mądre niewiedzenie.
– Mądre niewiedzenie? – wykrzywił się Jonasz. – Jaki to ma sens?
Pani Tarkkonen potoczyła wzrokiem po pozostałych kap-sułach.
– I co wy na to? – spytała.
– Nie martw się, Jonasz – pocieszyła Fariba. – Każdy tak mówi na początku.
– Prawie każdy – poprawił Misza. – Ja nigdy tak nie mówiłem.
– Mówiłeś, mówiłeś, Miszka.

– Nie mówiłem!
– Mówił, prawda?
Pani Tarkkonen zaklaskała w dłonie.
– Hej, hej, moi drodzy! Do rzeczy! Jonasz czeka. Otóż musisz wiedzieć, Jonaszu, że podobnie jak wszyscy obecni tu twoi koledzy i koleżanki zostałeś zaproszony na turnus w Amonie ze względu na piękno swojego umysłu i niebezpieczeństwo, na jakie jest narażony.
– Turnus? – zaniepokoił się Jonasz. – To znaczy, ile to ma trwać?
– Różnie to bywa. Najczęściej wystarczy około trzech tygodni.
– Wystarczy na co?
Kobieta uśmiechnęła się do Jonasza z sympatią i tym samym cierpliwym tonem ciągnęła:
– Spójrzmy na to w ten sposób: powiedzmy, że wolny, nieskrępowany umysł to przedstawiciel ginącego gatunku, na który na domiar złego urządza się polowania. Amon to miejsce, które stawia sobie za cel uratowanie tego gatunku.
– Jak w rezerwacie! – zarechotał Sebastian.
– No, niezupełnie, Sebastianie – nie zgodziła się pani Tarkkonen. – Zauważ, że w rezerwacie pilnuje się po prostu, żeby przyrodniczo cennym gatunkom nikt nie zakłócał spokoju, prawda? Oddziela się je od wpływu zewnętrznego świata i pozwala żyć w odosobnieniu. Z wami jest inaczej. Wy jesteście tu po to, żeby się wzmocnić. Żeby zaszczerpić wasze umysły przed czyhającymi na nie niebezpieczeństwami.
– Znaczący... przed naświetlaniem? – ostrożnie zapytał Jonasz. – To tutaj wszyscy mają zmącenie?

Patrzyli jedni na drugich ze swoich wiszących kapsuł i robili zdziwione miny. Ktoś się zaśmiał, ktoś z rozbawieniem powtórzył:

– Zmącenie?

Pani Tarkkonen ściągnięciem brwi przywołała ich do porządku i powiedziała spokojnie:

– Nie, Jonaszu. Nikt tu nie ma zmącenia. Ani oni, ani ty. Wasze umysły nie są zmącone, tylko nienasycone. Nie umieją usiedzieć w miejscu. Uwielbiają przygody. Ciągłe coś je zaprząta, ciągle coś im nie pasuje, ciągle chcą pytać i odkrywać. My to w Amonie nazywamy „umysłowym wiercipięctwem” i bardzo w ludziach lubimy. Ale, jak wiesz, nie wszystkim to pasuje. Niektórym wasze wiercipięctwo wcale się nie podoba. Wołają umysły ciche, spokojne i posłuszne. Tacy jak wy komplikują im życie. Pomyśl, o ile łatwiej kieruje się ludźmi, kiedy każdy myśli tak samo. O ile mniej się trzeba namęczyć, żeby ludzi do czegoś namówić albo coś im sprzedać. Dlatego wymyśla się różne pasudne nazwy, takie jak na przykład „zmącenie” albo... jak to się u was nazywało, Guang?

– Skrzywienie myślowe.

– No właśnie. A u was, Misza?

– Awanturnictwo.

– O, proszę bardzo. – Kobieta wyciągnęła dłoń, jakby coś na niej podawała. – Wymyśla się różne wstrętne nazwy i udaje się, że to jakaś niebezpieczna choroba, którą trzeba zwalczyć. To wcale nie zawsze i nie wszędzie musi się odbywać przez naświetlanie. I wcale niekoniecznie muszą to robić jakieś specjalne instytucje. Czasem wystarczą niepotrafiący słuchać rodzice.

Czasem koledzy albo znajomi z Facebooka potrafią uwziąć się na „dziwactwo”. Różne tu mamy przypadki, prawda?

Twierdzący pomruk przeszedł przez bujalsnię.

– My w każdym razie – ciągnęła pani Tarkkonen – chcielibyśmy to umysłowe wiercipięctwo w was ocalić. Tak, żeby kiedy wrócicie do siebie, nikt go w was nie zniszczył, rozumiesz?

Jonasz słuchał z uwagą, a kiedy zapadła cisza, przesunął wzrokiem po sąsiednich kapsułach. Ze wszystkich stron przypatrywano mu się ciekawie. Niektórzy uśmiechali się zachęcająco, inni niecierpliwie czekali na reakcję.

– Czyli... – zaczął niepewnie. – To znaczy, że ja już nie jestem w tej poradni?

Kobieta stanowczo pokręciła głową.

– Z całą pewnością, Jonaszu, nie jesteś w żadnej poradni.

– I nie mam się tu leczyć ze zmącenia?

W oczach pani Tarkkonen pojawiły się figlarne ogniki.

– Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. Czasem to my tu sobie nawet specjalnie mącimy, prawda, moi drodzy?

Ten i ów wesoło pokiwał głową.

– A jak ja nie chcę?

Pani Tarkkonen ani na chwilę nie zmieniła życzliwego wyrazu twarzy.

– Oczywiście decyzja należy do ciebie – powiedziała. – Możesz wrócić tą samą drogą, którą się tutaj dostałeś. Do końca dnia kanał jest otwarty. Powiedz tylko, a ja to załatwię.

– I tam mnie naświetlą, tak?

– Prawdopodobnie.

Cisza trwała tak długo, że Pepe nie wytrzymał i zawołał:

– No coś ty, Jonasz, tu jest fajnie!